

WYDARZENIA

Podwójny jubileusz

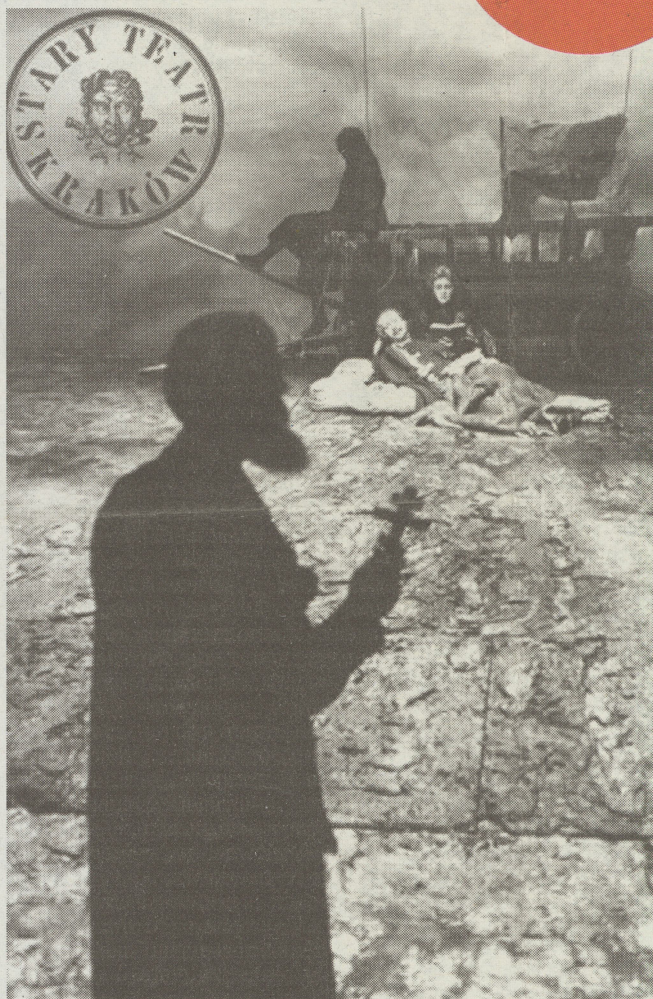
magnes
»TEMAT Z OKŁADKI

Poniedziałek, 18 kwietnia, godz. 19, Stary Teatr

Jan Nowicki – Mikołaj Stawrogin, Wojciech Pszoniak – Piotr Wierchowieński, Izabela Olszewska – Maria Lebiadkin, Zofia Niwińska – Barbara Pietrowna, Andrzej Kozak – Aleksy Kiriłow, Aleksander Fabisiak – Iwana Szatow, Wiktor Sadecki – Stiepan Wierchowieński, Tadeusz Malak – Narrator i wielu, wielu innych. **To m.in. Oni stanęli 29 kwietnia 1971 roku na deskach Starego Teatru w premierowym spektaklu „Biesów” w reżyserii Andrzeja Wajdy, ze scenografią Krystyny Zachwatowicz i z muzyką Zygmunta Koniecznego.** Wystąpili bez Kazimierza Fabisiaka, który przez jedenaście tygodni próbował wraz z kolegami, lecz premiery nie doczekał: zmarł na scenie, na oczach widzów podczas III próby generalnej.

Od tych wydarzeń minęło 40 lat. I właśnie z okazji 40 rocznicy tej legendarnej inscenizacji, a także w związku z 85 urodzinami Andrzeja Wajdy w Starym Teatrze odbędzie się spotkanie z twórcami spektaklu. Wielu już odeszło, ale przywołując w poniedziałkowy wieczór tamten czas zapewne ich też będziemy wspominać.

Kluczem tej inscenizacji opartej na adaptacji powieści Fiodora Dostojewskiego dokonanej przez Alberta Camusa Wajda uczynił ewangeliczne motto powieści. „Tak, te wściekle wieprze, w które weszły dreczące opętane złe duchy, to są właśnie postacie powieści, a ich zdyszany, przedśmiertny bieg uznałem za najważniejszą wskazówkę reżyserską, jaką chciałem przekazać aktorom” – wyjaśniał reżyser po premierze. Oryginalnym pomysłem Wajdy było także wprowadzenie na scenę – na wzór japońskiego teatru Bunraku – złowieszczych czarnych postaci robotników scenicznych, którzy nie tylko



FOT. ARCHIWUM NARODOWEGO STAREGO TEATRU

zmieniali dekoracje, ale i uosabiali opętujące bohaterów biesy. Zanim doszło do krakowskiej premiery, Wajda zabiegał o wystawienie „Biesów” w kilku innych teatrach. Wszystkie odmawiały z obawy przed cenzurą. Stary Teatr grał „Biesy” przez 15 lat, jednak z powodów politycznych spektakl nigdy nie doczekał się telewizyjnej rejestracji.

„Potężna siła tej książki jest w stanie wystraszyć każdego. Od nas żądała prawdy i szczerości, do jakiej aktorzy nie byli przy-

zwyczajeni. Podtrzymywałem tę chwiejną równowagę, tłumacząc kolegom i sobie, że nie jesteśmy jeszcze gotowi, by grać na scenie Dostojewskiego. (...) Niezadowolenie aktorów z mojej metody pracy i wymagań nie przerodziło się jednak w zniechęcenie, przeciwnie w tym chaosie rodziła się jakaś jedność, jakiś zdyszany rytm dialogu i akcji, których nie mogłbym osiągnąć żadnym innym sposobem. Ten rytm z kolei był moim świadomym wyborem” – opowiadał Andrzej Wajda

o spektaklu, który przeszedł do historii polskiego teatru, objechał świat w czasach, kiedy od tegoż świata byliśmy odizolowani żelazną kurtyną. O garść wspomnień sprzed czterdziestu lat poprosiliśmy dwójkę aktorów.

Izabela Olszewska

Ten spektakl był niezwykle i niecodzienny z różnych powodów. Już pierwsza próba była dla nas zaskoczeniem. Pan Andrzej przyniósł pod pachą scenariusz wg Camusa i powiedział do nas, aktorów: „W tej wersji to jest sztuka salonowa, a ja chcę zrobić przedstawienie o czymś zupełnie innym. Proszę przeczytać „Biesy” i każdy niech sobie wybierze wątki i sceny, które chciałby zaprezentować”. To był szok. Ale grzecznie przynosiliśmy propozycje, a pan Andrzej, zawsze dbający o rytm przedstawienia, korygował nasze pomysły włączając co lepsze do scenariusza. Prawdę powiedziawszy, dość długo nie wierzyliśmy w udany efekt końcowy tej realizacji. W miarę trwania prób narastał w nas pesymizm i frustracja. Baliśmy się klęski. I nagle zaczęło się. Najpierw pojawił się horyzont: ciemny, mroczny, bezkresny, ciemna czapa przytłaczająca nas. I podłoga imitująca błoto, w którym grzeźliśmy. Te elementy dekoracji stały się dla nas niezwykle cenne. One wprowadzały nas w świat biesów, zła, mroku. A potem doszły czarne postaci, duchy przemykające po scenie pełniąc także role maszynistów. I wreszcie muzyka Zygmunta Koniecznego: szepty, krzyki, niesamowite, diabelskie odgłosy. To wszystko budowało nastrój metafizyczny. Spektakl zaczął rosnąć a metafizyki dodała mu śmierć, Kazia Fabisiaka podczas III próby generalnej. Na scenie. Obok nas. Nie muszę mówić, co to dla nas znaczyło...

A potem zaczęły się wyjazdy po świecie – chyba nie mu-

szą dodawać jakim oknem na świat było dla nas przedstawienie, z którym w tamtych czasach objechaliśmy międzynarodowe festiwale. Ten spektakl i jego sukces był dla nas darem od losu.

Tadeusz Malak

Od samego początku nie byliśmy przekonani do pomysłu Wajdy. Na to nałożył się protest jednego z kolegów wobec reżysera, jego interpretacji. Słowem: początkowo nie działało się najlepiej. Zaczęliśmy przynosić, na prośbę reżysera, fragmenty „Biesów” przez nas wybrane i proponowane do spektaklu. Kazio Kaczor był wtedy asystentem reżysera i pod nieobecność Wajdy z nim właśnie „naczytywaliśmy” tekst. Doszła niesamowita scenografia: to błoto straszliwe, w którym z trudem brodziliśmy, czarne duchy – biesy, muzyka metafizyczna. I te rytmy, tempa Wajdy: nie gubcie tempa – mówił niemal po każdym przedstawieniu. I śmierć Kazia. Mówiliśmy, że prawdziwe diable zaingerowały w to przedstawienie. Jego sukces zaczął się od genialnego pomysłu na pierwszą scenę: spektakl zaczynał się od spowiedzi Stawrogina, która w oryginale jest gdzieś głęboko w środku powieści. I ten Janek Nowicki, młody wtedy aktor z tak niesamowitą siłą sceniczną. Z tego spektaklu, w finale którego wiesza się Stawrogin było jakieś dotknięcie zła. I jeszcze dramat za kulisami teatru: powiesiła się młoda kobieta na zapleczu sceny... Zbyszek Podgórzec, mój przyjaciel i konsultant tłumaczenia, napisał mnie i żonie dedykację znamieną: „Drogim Państwu Malakom tę książeczkę o piekle, które tu JEST, ku przestrodze, że i o Diablu należy niekiedy pomyśleć”. To prawda: o piekle, diable i zlu było to niezwykle przedstawienie.

JOLANTA CIOSEK